

ANNA

KANTOCH

WIOSNA

ZAGINIONYCH

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Anna Kańtoch

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2020

PROLOG

Grzegorz Cichoń miał swoje małe rytuały. Przychodził do pracy dziesięć minut wcześniej, witał się ze wszystkimi, parzył kawę w kubeczku z rysunkiem czarnego ptaka i napisem „Kawka po irlandzku”. Dopiero potem siadał przy stanowisku i zakładał słuchawki. Przesądnie wierzył, że pierwszy telefon określi cały dzień: jeśli będzie to coś prostego, wszystko pójdzie gładko, jeśli natomiast zadzwoni ktoś z bardziej skomplikowanym problemem, Grzegorz znowu wyjdzie z pracy z bólem żołądka i głowy.

Na kontrolce zapaliło się światło i chłopak wduśił przycisk.

– Operator numer cztery, w czym mogę pomóc? – odezwał się, ściskając kciuki, żeby było to coś banalnego. Zawał, utrata przytomności, zagubione dziecko, awantura u sąsiadów... Sprawa, którą wystarczy przekazać pogotowiu albo policji. Nic, co wymagałoby długiej rozmowy. Nic, co przypominałoby tamten telefon sprzed trzech tygodni, kiedy Grzegorz przez kwadrans uspokajał kobietę, która rozbiła na poboczu samochód. Ona wyszła z wypadku właściwie bez szwanku, jej czteroletni synek był ciężko ranny. Czekali na pogotowie razem: Grzegorz w ogrzewanej sali, kobieta w zimnym zacinającym deszczu pod lasem, trzymając na rękach umierające dziecko. Nie miał pojęcia, czy chłopczyk przeżył. Czasem kusiło go, żeby poszukać wiadomości w internecie. Wiedział jednak, że to zły pomysł. Zakrwawiony

czterolatek, czasem odwiedzający go w snach, był pozbawiony twarzy i Grzegorz wołał, żeby tak pozostało.

– Mam problem – powiedział tymczasem głos w słuchawkach. Mężczyzna, prawdopodobnie starszy, mocno zdenerwowany. Może nawet przerażony, ale nie spanikowany. To ostatnie dobrze wróżyło: z ludźmi, którzy panikowali, trudno było się porozumieć.

– Jaki problem? – Grzegorz spojrział na mapę. Dzwoniący wyświetlał się na terenie katowickiej dzielnicy Janów, co nic jeszcze nie znaczyło. System lokalizacji mylił się czasem o kilka kilometrów. Albo nawet kilkanaście czy kilkadziesiąt. Kiedyś kobieta z Sosnowca wyświetliła się Grzegorzowi w Częstochowie.

Odgłos przełykanej śliny, a potem szept:

– On zamierza ukraść moje życie.

– Kto taki?

– Wchodzi do mojego domu, kiedy chce. Nie potrafię się go pozbyć.

– Proszę mówić jaśniej. Jak pan się nazywa?

Klik. Połączenie zostało zerwane. Grzegorz sprawdził na wszelki wypadek, czy w ciągu ostatnich trzech dni były inne połączenia z tego samego numeru. Nie było, po chwili wahania wrzucił więc zgłoszenie do bezzasadnych. Za mało danych, niewielkie prawdopodobieństwo, że komuś faktycznie groziło niebezpieczeństwo. Jednak coś w głosie tego starszego mężczyzny sprawiło, że myślał o nim przez cały dzień – gdy odbierał telefon od kobiety, która podejrzewała, że jej mąż zatruł się w chińskiej restauracji, i gdy tłumaczył pewnemu młodemu człowiekowi, że nieumiejętność poradzenia sobie z zadaniem z matematyki nie jest powodem do dzwonięcia na numer 112.

Ten mężczyzna naprawdę się bał. I miał poważny problem.

Zdjęcie jest czarno-białe i lekko prześwietlone, tak że twarze pięciorga młodych ludzi wyglądają na nim jak otoczone aureolami. Jakby wstępowali po schodach do nieba, a nie wsiadali do zwykłego dalekobieżnego pociągu. Trzech chłopców i dwie dziewczyny, wszyscy w wieku od dwudziestu dwóch do dwudziestu czterech lat, uśmiechnięci pomimo ciężkich turystycznych plecaków. To ja zrobiłam to zdjęcie. Był rok 1963, Beatlesi wydali swoją pierwszą płytę, ale my w Polsce nie mieliśmy o tym pojęcia: słuchaliśmy wtedy jazzu, Czerwono-Czarnych, czasem nieco starszych sentymentalnych przebojów. *Pamiętasz, była jesień* – jeszcze dziś mogę powtórzyć słowa tej piosenki. Za dwa miesiące miałam zacząć klasę maturalną, mój brat właśnie skończył studia. Wydawali się tak bardzo dorośli tamtego dnia, gdy stojąc na peronie, żartowali na temat ostatnich prawdziwych wakacji i przyszłej pracy. Oczywiście chciałam jechać z nimi i myślę nawet, że Romka potrafiłabym przekonać, ale nasi rodzice zdecydowanie się sprzeciwili. Poza tym w głębi serca czułam, że nie pasowałabym do tego towarzystwa opromienionych słońcem nadludzi, którzy mieli przejść szlak od Polany Chochołowskiej aż po schronisko w Dolinie Roztoki. Byłam zbyt młoda, zbyt miękka, pulchna i słaba. Dlatego oni odjechali, a ja zostałam na peronie, ściskając w dłoniach aparat fotograficzny marki Zenit. Kiedy trzy tygodnie póź-

niej wywołałam film, trzy osoby ze zdjęcia już nie żyły, a Romek zaginął. Wrócił jedynie Jacek. On też uśmiecha się na zdjęciu, ale inaczej niż pozostali, nie szeroko, tylko uśmiechem, który w zależności od interpretacji może być porozumiewawczy, nerwowy albo smutny. Przez lata patrzyłam na ten uśmiech, zastanawiając się, co się za nim kryje, i wciąż nie znalazłam odpowiedzi. Może nic, a może wszystko.

Schowałam zdjęcie do szuflady biurka, włożyłam buty i zdjęłam z wieszaka w przedpokoju cienki płaszcz. Wolnym krokiem poszłam w kierunku przychodni, gdzie młody uprzejmy lekarz poinformował mnie, że jak na mój wiek jestem w całkiem niezłej kondycji. Mówił z lekkim zdziwieniem, a także z dumą, jakby moja kondycja stanowiła nasze wspólne, nie wiadomo jak duże osiągnięcie. Z jego punktu widzenia siedemdziesiąt trzy lata to prawdopodobnie już zgrzybiała starość, ale ja, choć czasem czuję się stara, nie jestem jeszcze zgrzybiała. I mam w życiu kilka rzeczy do zrobienia.

Wracałam również pieszo, nie czekając na autobus. Po drodze zatrzymałam się w centrum Nikiszowca na kawę i ciastko w Byfyju. Lubię ten lokal i lubię tę dzielnicę, gdzie jeszcze niedawno strach było zostawić samochód na kilka minut, a teraz można tu zobaczyć japońskie wycieczki i młode pary robiące sobie sesje zdjęciowe na tle familoków z pomalowanymi na czerwono parapetami.

Na skwerku Zillmannów skinęłam głową Przybylukowi, który na mój widok jak zwykle przyspieszył kroku. Nie powiem, trochę mnie to bawiło. Byliśmy znajomymi z dawnych czasów, choć nigdy nie udało nam się go aresztować. Potem dosiadłam się do sąsiadki. Odpoczywała na ławce, wygrzewając się w słońcu, podczas gdy Betsy, jej stara jamniczka, obwąchiwała świeżo wyrosłą trawę. Porozmawiałyśmy chwilę o tym, o czym zazwyczaj rozmawiają starzy ludzie: o wnukach, o tym, co wydarzyło

się ostatnio u znajomych i że ta pogoda to już całkiem zwariowała, bo jeszcze tydzień temu przecież była zima, wszyscy chodzili w grubych kurtkach, a teraz proszę: prawie lato. Buchtowa mówiła po śląsku, ale ja przez lata mieszkania w Katowicach nauczyłam się niezłe rozumieć gwara. Mam na osiedlu kilka koleżanek w moim wieku albo nawet starszych, z którymi plotkuję przy kawie. Lubię te egzotyczne dla ucha Elfridy, Hildy czy Edeltraudy, a one, jak sądzę, lubią mnie, choć nie opowiedziałam im o sobie wszystkiego. Na przykład do dziś nie zdradziłam się, że pochodzę z Sosnowca: dawne animozje pomiędzy Zagłębiem a Śląskiem na szczęście mocno już osłabły, ale niektórzy wciąż lubią pożartować sobie z goroli. Nie przyznałam się także, co naprawdę robiłam, kiedy pracowałam w milicji, a potem w policji. Gdy rozmowa schodzi na ten temat, macham lekceważąco ręką i mówię, że to była nudna papierkowa praca, prawdopodobnie więc wszyscy uważają mnie tu za kogoś w rodzaju emerytowanej sekretarki. Tak jest lepiej – gdybym się przyznała, że pracowałam w dochodzeniówce, patrzyliby na mnie inaczej, nie jak na zwyczajną starszą panią, tylko jak na kogoś, kto budzi ciekawość i może lekki strach, a ani jedno, ani drugie nie było mi potrzebne.

– ...psy.

Zamyśliłam się, więc dopiero po chwili dotarło do mnie, że Buchtowa coś mówi.

– Psy? – zapytałam głupio, patrząc na tłustą jamniczkę, która zrezygnowała z obwąchiwania trawy i ziewnąwszy szeroko, położyła się u stóp swojej pani.

– Te, co je habiom – wyjaśniła Buchtowa. – Moja cera pado, że to Arabi, na te ich kebaby.

Zamrugałam. Na Janowie istotnie zaginęło ostatnio sporo psów, ale teorii o kebabach jeszcze nie słyszałam. Skinęłam więc tylko niezobowiązująco głową, a Buchtowa obrzuciła trwożli-

wym spojrzeniem Betsy, jakby oczami wyobraźni widziała już jamniczkę kręcącą się na rożnie w podrzędnej budce z fast foodem. Potem rozmowa zesłała na nieunikniony temat zdrowia. Moja towarzyszka miała słabe serce, problemy z pęcherzem i oczywiście „wysoki cukier”, przekleństwo naszego wieku. Ja odwzajemniłam się opowieścią o chorym biodrze, które zoperowano kilka miesięcy temu i które wciąż mi dokuczało, zwłaszcza przy deszczowej pogodzie, choć nie aż tak bardzo, jak próbowałam wmówić Buchtowej. O werdykcie młodego lekarza nie wspomniałam – wobec listy nieszczęść sąsiadki wydawało się to nie na miejscu, a kiedy szłam w stronę Janowa, pozostawiwszy Buchtową wraz z jamniczką na skwerku, lekko utykałam. Robiłam to z uprzejmości albo dlatego, że takie małe niewinne oszustwa są jedną z nielicznych przyjemności pań w starszym wieku. A może chodziło o coś jeszcze innego: może już w tamtym momencie w mojej głowie zaczął rodzić się plan.

*

Po południu pojechałam na działkę, gdzie zajęłam się przekopywaniem grządek i sadzeniem frezji, a wieczorem wpadła do mnie Justyna. Teoretycznie, żeby pogadać, w praktyce zapewne po to, by sprawdzić, czy wciąż żywię się gotowymi daniami ze słoików. Moja córka niedawno skończyła pięćdziesiąt lat i po odchowaniu jednego dziecka i doprowadzeniu do lat nastoletnich drugiego zwróciła część swoich opiekuńczych instynktów w stronę starzejącej się matki. Nie ma sensu z nią walczyć, dlatego gdy tylko zapowiada się z wizytą, wyrzucam słoiczki po pulpetach, bigosie i fasolce po bretońsku, choć wiem, że Justyna prawdopodobnie i tak znajdzie je w koszu, a potem będzie chodziła po moim mieszkaniu z ponurą miną, mrużąc, jak ważne jest prawidłowe żywienie w podeszłym wieku.

Z przykrością muszę przyznać, że nie byłam dobrą matką i kiedy moje dzieci dorastały, więcej czasu poświęcałam pracy niż życiu rodzinnemu. Prawdopodobnie dlatego Justyna w odruchu buntu – a może zwyczajnej konieczności – wyrosła na moje przeciwieństwo: już w podstawówce uwielbiała matkować młodszym dziewczynkom, szybko też nauczyła się zajmować domem i gotować.

Plotkowałyśmy o Adamie. Styl życia mojego syna budzi w Justynie dezaprobatę, a we mnie coś pomiędzy lekką grozą a fascynacją. Adam jest grafikiem komputerowym, pracuje w domu, żywiąc się pizzą na wynos, i ma skłonność do starszych od niego kobiet, nader często obarczonych nastoletnimi dziećmi, którym jako dobry wujek pokazuje uroki gier komputerowych. Potem rozmowa zeszała na moją wnuczkę, Zużę, która kończyła właśnie czwarty rok na ASP.

– Zaproponowali jej po studiach posadę asystentki – oznajmiła Justyna z miną zwiastującą nadciągające nieszczęście.

– To chyba dobrze? – spróbowałam dyskretnie wy badać grunt.

– Niby tak. Ale teraz wszyscy koledzy obmawiają ją za plecami. Mówią, że spała z profesorem rysunku, żeby dostać to stanowisko.

– A spała?

Justyna spojrzała na mnie zszokowana.

– Oczywiście, że nie.

Jasne, że nie, pomyślałam. Zuza jest porządną dziewczyną. Może nawet nieco zbyt porządną, by wyszło jej to na dobre.

– Zuza zastanawia się, czy nie zrezygnować, ale jeśli tak zrobi, to z czego będzie żyła? Z malowania henną?

– Na tym malowaniu, zdaje się, całkiem nieźle już zarabia.

– Tak, ale przecież to nie jest prawdziwy zawód. – W pojęciu Justyny „prawdziwy zawód” oznacza pracę od ósmej do szesn-

stej na jakimś solidnym stanowisku. Lekarz, prawnik, urzędniczka w banku, od biedy nawet sekretarka, jednak z pewnością nie artystka, która podróżuje od imprezy do imprezy z tubkami ziołowej pasty.

– I w dodatku wybiera się latem w góry – ciągnęła. – Z przyjaciółmi. Żeby wędrować po Tatrach z plecakami. Jak za dawnych czasów, tak powiedziała. Pójdą na Zawrat.

Zakręciło mi się w głowie. To mógł być przypadek, ostatecznie mnóstwo ludzi wybiera się każdego roku w Tatry. Ale po tym, jak w marcu niespodziewanie spotkałam Jacka, pomysł tej wakacyjnej wyprawy wydawał się czymś więcej. Jakby przeszłość niespodziewanie wychyliła się zza rogu, wykrzywiła do mnie paskudną gębę, szturchnęła sękatym paluchem i zapytała: I co, masz zamiar wreszcie zareagować?

– Co ty na to? – Justyna patrzyła triumfująco, wiedząc, że wygrała i tym razem będę musiała zaprotestować, a ja wbrew wszystkiemu, co czułam, spróbowałam się uśmiechnąć.

– Niech jedzie – powiedziałam. – Najwyżej zanudzą się w kolejce na Kasprowy.

– Nie możesz chociaż raz w życiu być poważna? To trasa, na której zniknął wujek Roman.

Oczywiście Justyny nie było na świecie, kiedy zaginął mój brat, ale i ona, i Adam rośli w cieniu tej tragedii. Sama o to zadbałam, a teraz zdarzało mi się tego żałować. Przy wnukach nie popełniłam już dawnego błędu: Zuza i Jeremi wiedzieli tylko tyle, że brat ich babci lata temu zniknął w drodze na Świnicę.

– Nie chcę, żeby tam szła... – szepnęła Justyna, a ja powoli skinęłam głową. Też tego nie chciałam, wiedziałam jednak, że Zuza nie da się przekonać. Była upartą dziewczyną, bardzo podobną pod tym względem – i pod innymi zresztą też – do swojego ciotecznego dziadka.

Następnego dnia umówiłam się do fryzjera i powiedziałam pani Zosi, by przywróciła mojej fryzurze naturalny siwy kolor. Wyszłam do zakładu z włosami brązowymi, a wyszłam z białymi jak mleko. Przeglądając się potem w lustrze, pomyślałam, że naprawdę wyglądam jak staruszka. Nie starsza pani ani kobieta dojrzała czy w zaawansowanym wieku, tylko zwyczajna staruszka z twarzą pociętą głębokimi bruzdami. Te bruzdy pojawiły się wcześniej, jeszcze zanim skończyłam pięćdziesiąt lat, i kiedyś bardzo z ich powodu cierpiałam, teraz jednak twarz stała się moim sojusznikiem. Nie czułam się staruszką, ale tak wyglądałam i cieszyłam się z tego, ponieważ staruszki nie są groźne, staruszek nikt nie podejrzewa, a ja wiedziałam już, że zamierzam popełnić przestępstwo.

Po raz pierwszy zobaczyłam Jacka, gdy wciąż panowała zima. W środę 21 marca, w pierwszy dzień wiosny, spadł nawet śnieg z deszczem, ale mimo to, zmęczona długim siedzeniem w domu, postanowiłam wyjąć z szafy kijki do nordic walkingu i wyjść na spacer. Błoto oblepiało mi buty, a zimny wiatr dął w twarz, kiedy szłam w stronę Boliny. Teoretycznie to park – przynajmniej tak jest napisane na tabliczce – w praktyce bardziej... teren rekreacyjny? Nie wiem, czy to dobre określenie. Są tu dwa boiska: do piłki nożnej i do koszykówki, plac zabaw dla dzieci, parę krzyżujących się alejek, restauracja z ogródkiem i zadaszone miejsce, w którym można zrobić grilla. Wszystko to oczywiście o tej porze było puste, spotkałam tylko starszą panią z psem i dziewczynę truchtającą uparcie w cienkim stroju do joggingu.

Wracałam zziębnięta i zmęczona, ale w lepszym humorze, wiatr przegonił śląski smog i po raz pierwszy od wielu dni na zewnątrz dało się swobodnie oddychać. Po drodze wstąpiłam do Rabatu, by kupić kawę, mleko i oczywiście nieśmiertelne pulpety

w sosie pomidorowym na obiad. Tam właśnie go zobaczyłam. Stał przy ladzie chłodniczej, trzymając w ręku paczkę ruskich pierogów. Pamiętam, że patrzył na mnie, a ja chciałam rzucić mu porozumiewawcze spojrzenie, bo sądziłam, że odnalazłam bratnią duszę, kolejną starszą osobę żywiącą się gotowymi daniami. Potem go rozpoznałam. Ostatni raz widzieliśmy się pięćdziesiąt lat temu, a jednak nie miałam wątpliwości. Wszyscy zmieniamy się z czasem, choć niektórzy z nas zachowują w tych zmianach pewną... ciągłość. Tak jak Jacek. Posiwiął, zgarbił się i pomarszczył, ale to wciąż był on. Jego spojrzenie prześliznęło się po mnie obojętnie i pobiegło w stronę lady z wystawionymi rybami. Nie poznał mnie, jasne, że nie. Wiedziałam, że od dawna już w niczym nie przypominam tamtej pulchnej dziewczyny z dołeczkami w policzkach, którą mógłby pamiętać. Kiedy skończyłam czterdzieści lat, znajomi ze studiów przestali mnie rozpoznawać, a od tego czasu zmieniałam się jeszcze bardziej. Stałam więc i patrzyłam, jak ładuje do koszyka tłustą makrele. Ustawiłam się tuż za nim w kolejce do kasy, zupełnie zapominając o kawie i mleku, a potem śledziłam go aż do domu. Mieszkał na końcu Zamkowej w jednopiętrowej willi otoczonej wysokim żelaznym płotem. O czym myślałam, spoglądając na ten dom? Gdy stałam pod lasem, czując osiadające na twarzy krople drobnego deszczu, chyba jeszcze o niczym, byłam tylko zdumiona, że ostatecznie los rzucił nas tak blisko siebie. Dopiero później, gdy wracałam, mijając zbudowane w latach siedemdziesiątych kanciaste bloki i znacznie starsze familoki, z których kominów unosił się szary dym, uświadomiłam sobie oczywistą prawdę: Jacek musiał należeć do najbogatszych mieszkańców naszej eklektycznej dzielnicy. Ja miałam dwupokojowe mieszkanie, jemu dostała się willa. Nie, nie chodziło o coś tak prymitywne jak zazdrość, raczej o pewne... poczucie sprawiedliwości.

Po tym, co zrobił, Jacek Kotulak nie zasługiwał ani na pieniądze, ani na szczęście.

Od tamtego dnia bywałam na końcu Zamkowej prawie codziennie. Szłam na Bolinę z moimi kijkami do nordic walkingu, mijałam jego willę, a potem wracałam tą samą trasą: ot, stara kobieta na spacerze. Czasami zabierałam ze sobą lornetkę i ukryta za drzewem, obserwowałam dom. Pamiętam, że przygotowałam sobie nawet wymówkę: gdyby ktoś zapytał, co robię, mogłabym powiedzieć, że wypatruję jerzyków, które z pierwszymi oznakami wiosny zaczynały pojawiać się w lesie. Ale nikogo to nie interesowało, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Już wtedy, zanim zaczęłam wyglądać jak staruszka, dla części ludzi byłam niewidzialna i już wtedy wiedziałam – a przynajmniej podejrzewałam – że niedługo to wykorzystam.

Dzięki lornetce dowiedziałam się, że Jacek co prawda mieszka sam, jednak często miewa gości: jasnowłosa, mniej więcej dwudziestoletnią, dziewczynę. Wnuczka, uznałam, choć na upartego mogłaby to być splotzona w późnym wieku córka. W jej towarzystwie sprawiał wrażenie odprężonego i szczęśliwego. Zależało mu na niej, byłam pewna.

Tego samego dnia, gdy po raz pierwszy dostrzegłam jasnowłosa dziewczynę, zwróciłam też uwagę na wiszące na drzewach ogłoszenia. Niektóre były stare, zamoknięte i poszarpane przez wiatr, inne wyglądały na nowe, jakby powieszono je tego ranka.

ZAGINÓŁ PIES BRONZOWO-CZARNY, ODPOWIADA NA IMIE RAMZES,
MA 5 LAT I KLAPNIENIE UHO. PROSZE O KONTAKT: 569 365 786.

I następne, tym razem nieco bardziej ortograficzne:

POSZUKIWANY PIES RASY BORDER COLLIE, WABI SIĘ KAJTEK, JEŚLI
GO WIDZIAŁEŚ, PROSZĘ ZADZWOŃ.

Pod spodem widniało wydrukowane na domowej drukarce czarno-białe zdjęcie sympatycznego pieska przypominającego bardziej kundelka niż border collie i numer telefonu dopisany grubym pisakiem. Tusz spływał z cyfr smolistymi zaciekami, które wyglądały jak czarne łzy.

Wyjęłam z kieszeni paczkę l&m-ów. Nie powinnam palić, ale w moim wieku właściwie już większości przyjemnych rzeczy nie powinnam robić, więc do diabła z tym.

Schowałam się pod drzewem, bo siępiło, i za drugim razem zdołałam odpalić papierosa. Zaciągnęłam się, dym zadrapał mnie w gardło. W willi otworzyło się, a potem zamknęło okno i na krótką, ulotną jak wiosenne słońce chwilę nad zadbanym ogrodem poniósł się dźwięk dziewczęcego śmiechu.

Kończyłam palić, gdy za moimi plecami rozległ się cienki głosik:

– Nie znod sie.

Odwrociłam się. Tuż za mną stała niska, pękata kobiecina w niezbyt czystej puchowej kurtce. Miała jakieś pięćdziesiąt lat, okrągłą twarz i siwiejące włosy, w których tkwiły dwie plastikowe różowe spinki. Na smyczy trzymała kudłatego psa w brązowo-czarne łaty.

– Słucham?

– Nie znod się. – Wysoki, cienki głos bardziej pasował do ośmiolatki niż do dorosłej kobiety.

– Kto?

– Ramzes. – Brudnym palcem pokazała pierwsze ogłoszenie.

Odruchowo spojrzałam na psa, którego trzymała na smyczy. Zgadzało się zarówno umaszczenie, jak i klapnięte ucho.

Kobiecina musiała domyślić się, co mi chodzi po głowie, bo energicznie potrząsnęła siwą czupryną.

– To niy je Ramzes. Znaczy Ramzes, ino inkszy. Tego chyci-łach we schronisku, jak tamtyn sie strocił.

Słyszając swoje imię, Ramzes numer 2 wywalił język i zamerdał ogonem.

– Mocie psa?

– Nie.

Widziałam, że gwałtownie tracę szacunek w oczach mojej nowej znajomej, dodałam więc szybko:

– Moja wnuczka ma. Mieszka z rodziną blisko, bo na Niki-szu. Czarny labrador, nazywa się Ajaks. Czasem chodzę z nim na spacer.

Kobiecina skinęła z aprobatą.

– Dowiejcie pozór. Tu psy habiom.

Ajaks półtora roku temu przeniósł się do zwierzęcego raj, ale o tym nie zamierzałam wspominać.

– Kto kradnie? – zapytałam zamiast tego.

Wzruszyła ramionami.

– A bo jo wjym? Satanisty pewnie. Ramzesa ze smyczy w lesie puściłach i kajś poloz. A zawsze wracół.

– Może się zgubił – powiedziałam. Rozciągający się między Katowicami a Mysłowicami las nie był na tyle duży, by zgubił się w nim człowiek, ale pies zapewne mógłby. Choć jak przypuszczałam, kudłaty Ramzes raczej wybiegł na jedną z dróg szybkiego ruchu i skończył pod kołami samochodu.

Pokręciła głową.

– Zawsze wracół – powtórzyła. – I jego widziałach niedaleko. O, może to łon.

Przez moment nie miałam pojęcia, o kim mówi. Dopiero kiedy znowu wyciągnęła brudny palec i wycelowała nim w okna willi, pojęłam, że ma na myśli Jacka Kotulaka.

– Pani myśli, że człowiek, który tu mieszka, ukradł Ramzesa?

Znowu pokręciła głową, ale tym razem znacznie mniej energicznie.

– Jo tam niy wjym. Ale ludzie różnie godajom. Po takiemu ogłoszenia kole jego chałpy wieszom. Coby go sumienie żarło.

Nie powiem, trochę mnie rozbawiła. Jacek, starszy ode mnie o dobre pięć lat, w roli satanisty? W różne rzeczy mogłam uwierzyć, ale w to nie. Dawny kolega mojego brata naraził się mieszkańcom Janowa prawdopodobnie jedynie tym, że był mieszkającym na uboczu starszym samotnym mężczyzną.

– Pani wie, kto to jest? – Dałam spokój psom i korzystając z okazji, spróbowałam podpytać nową znajomą.

– Profesor jakiś. – Charknęła i przez moment wydawało się, że splunie z pogardą. – Hermann. – Zabrzmiało w jej ustach jak kolejne charknięcie.

Hermann? Zdziwiłam się, uznałam jednak, że Jacek miał powód, by zmienić nazwisko. Sprawa sprzed pół wieku odbiła się szerokim echem i nawet teraz gazety od czasu do czasu do niej wracały.

– Sam mieszka? – To już wiedziałam, chciałam się jedynie upewnić.

– Ja, ino tako jedna czasym do niego przyłazi.

– Wnuczka? – zapytałam, nim zdążyłam ugryźć się w język. Nie powinnam była wiedzieć, że odwiedzająca Jacka kobieta jest młoda. Moja nowa znajoma nie zwróciła jednak na to uwagi.

– Może i wnuczka.

– Po co profesor miałby kraść psy? – Żeby zatrzeć gafę, wróciłam do bezpiecznego tematu.

Spojrzała na mnie wodnistymi oczami.

– Tera wszyscy habiom – oznajmiła poważnym tonem, po czym pożegnała się i odeszła z drepczącym u jej boku Ramzesem.

Jeszcze tego samego wieczoru przełożyłam ostatnie zdjęcie Romka do szuflady. Nie chciało mi się wyjmować albumu z szafki za każdym razem, kiedy miałam ochotę na nie spojrzeć.

Umysł ludzki to dziwny mechanizm. Oszukujemy innych, ale równie dobrze potrafimy też oszukiwać samych siebie. Ja przez długi czas chciałam wierzyć, że to, co robię, to tylko zabawa, rozrywka pani w starszym wieku, być może nieco osobliwa, ale ostatecznie przecież dość niewinna.

Zabawą było przechodzenie każdego dnia obok willi na Zamkowej, zagłądanie przez lornetkę w okna i sprawdzenie, czy Jacek nie zamontował przypadkiem kamer lub alarmu. Zabawą było kupienie w Decathlonie dresu. Specjalnie wybrałam model bez żadnych odblaskowych pasków czy jaskrawych elementów, taki sam, jaki niedawno kupiłam dla Zuzy. Mieli trzy kolory, a ja zdecydowałam się na ciemnoszary: w jasnym za bardzo bym się wyróżniała, w czarnym wyglądałabym jak podstarzały ninja. Zabawą było udawanie przed Buchtową, że biodro boli mnie bardziej, niż naprawdę bolało, i powrót do siwych włosów.

Kiedy jednak wyjęłam z szuflady komplet noży, wiedziałam już, że sprawa zrobiła się naprawdę poważna. Te noże podarowała mi piętnaście, może nawet dwadzieścia lat wcześniej znajoma, mówiąc: może dzięki nim polubisz gotowanie. Cóż, nie polubiłam, prezent powędrował na dno szuflady, a znajoma wyjechała do Stanów i urwał nam się kontakt. Gdyby jeden z tych noży znaleziono na miejscu przestępstwa, nikt nie zdołałby skojarzyć go ze mną.

Otworzyłam pudełko i opuszką palca sprawdziłam ostrość największego. To nóż do mięsa, powiedziała znajoma. A może do chleba? Nie, noże do chleba mają ząbkowane ostrza. Tyle nawet ja wiem. Nieważne zresztą. Wyglądało na to, że nóż się nada.

Po południu wpadła Zuza. Zrobiłam jej herbaty i pokroiłam roladę malinową za cztery czterdzieści dziewięć, oczywiście kupioną w Rabacie. Moja wnuczka nie je mięsa, zawsze sprawdza,

czy jajka są od kur z wolnego wybiegu, i jeśli tylko może, unika krowiego mleka, jednak szczęśliwie nie przeszkadza jej ani gluten, ani zestaw konserwantów długi jak lista składników szamponu do włosów.

Usiadłyśmy przy stoliku w kuchni. Zuza wyglądała, jakby coś ją dręczyło: prawie się nie odzywała, popijała tylko gorący napój i jadła ciasto. Nie poganiałam jej. Czekałam cierpliwie, aż sama zacznie mówić.

Zuza przypomina Romka nie tylko pod względem uporu. Jakiś przedziwny genetyczny kaprys sprawił, że moja wnuczka podobna jest nie do matki, ojca czy do mnie, ale do swojego ciotecznego dziadka. Mierzy prawie metr osiemdziesiąt, ma duże stopy, płaską klatkę piersiową, piegowatą twarz i szerokie usta, dokładnie takie, jakie od przeszło dwóch tygodni codziennie oglądam na starym zdjęciu. A ponieważ włosy ścina krótko, po chłopięcemu, to gdyby ubrać ją w spodnie i koszulę sprzed pół wieku, byłaby nie do odróżnienia od młodego Romka. Oczywiście taki wygląd nie czyni jej piękną czy choćby ładną – mam nieprzyjemne wrażenie, że Zuza ma wśród studentów opinię brzyduli, lecz ja kocham ją bardziej niż którekolwiek z moich dzieci czy wnuków. Nie faworyzuję jej, ale też nie zamierzam się tego wypierać. Tak po prostu jest i nic się nie da na to poradzić.

Zuza zjadła ostatni kawałek ciasta – jak na takiego chudzielca ma zaskakująco duży apetyt – i oblizała palce.

– Mama ci mówiła, że latem jedziemy w Tatry?

Skinęłam głową.

– Chcemy chodzić od schroniska do schroniska, z plecakami – wyjaśniła, choć to oczywiście też już wiedziałam. – Nie masz nic przeciwko?

– Dlaczego miałabym mieć?

– No wiesz, z powodu dziadka Romana. – Zawsze nazywała go „dziadkiem Romanem”, co było na swój sposób urocze i bar-

dzo w stylu Zuzy. – Będziemy uważać – zapewniła. – W naszej grupie są doświadczone osoby, a poza tym...

– Nie mam nic przeciwko.

– Serio? Mama mówiła...

– Domyślałam się, co mówiła. – Łatwo było zgadnąć, że Justyna próbowała mnie wykorzystać, by wyperswadować córce tę wyprawę. – Jedźcie sobie na zdrowie. Poza tym i tak jesteś trochę za duża, żeby ci czegokolwiek zabraniać.

Zaczerwieniła się lekko.

– Wiem – powiedziała. – Ale wołałabym nie jechać bez twojej i mamy zgody.

– Moją masz. – Udało mi się nawet powiedzieć to całkiem szczerze. Zuza była rozsądną dziewczyną, a poza tym jaka jest szansa, że taka sama tragedia wydarzy się dwa razy w tym samym miejscu tej samej rodzinie? To mówił rozum. Przeczucie podpowiadało coś zupełnie innego, jednak postanowiłam je zignorować.

Zuza zaniósła do zlewu filiżanki i talerzyki po roladzie malinowej. Zawsze myła po sobie naczynia, a ja już dawno przestałam z nią o to walczyć.

– Mam pytanie... – zaczęła, odwracając się do mnie, woda ściekała jej z palców.

Skinęłam zachęcająco głową. Sądziłam, że chce zapytać o coś związanego z sytuacją na uczelni, na przykład w jaki sposób zamknąć usta zazdrosnym studentom, którzy obmawiają ją za plecami. Zuję jednak dręczyło coś zupełnie innego.

– Jeśli ktoś krzywdzi zwierzęta, to jaka może go spotkać kara?

– Nie mam pojęcia. O coś takiego powinnaś pytać prawnika.

– Nie wspomniałam, że za moich czasów krzywdziciele zwierząt odpowiadali z paragrafu o niszczeniu mienia.

– Ale jest śledztwo, prawda? Jak w przypadku człowieka?

– Różnie bywa – odpowiedziałam dyplomatycznie. Zuza pod wieloma względami wciąż była naiwną idealistką: działała w ruchu Zielonych, pomagała bezdomnym zwierzętom ze schroniska i pewnie przykuwałyby się do drzew w Dolinie Rospudy, gdyby tylko w czasie protestów była wystarczająco dorosła, by wyrwać się spod opieki rodziców. – Jeśli zwierzę jest katowane albo zostaje brutalnie zabite, to raczej tak.

– A jeśli nie wiadomo, czy było katowane? Jeśli nie ma żadnych dowodów?

– To obawiam się, że niewiele można zrobić.

Przygryzła dolną wargę, ale nic nie powiedziała, a ja nie miałam na tyle rozumu, żeby ją przycisnąć i wypytać, o co chodzi. Myślałam, że to znowu sprawa, o której Zuza wyczytała w gazecie, albo problem związany z jakimś nieszczęśliwym psem ze schroniska. Byłam głupia. Głupia i pochłonięta własną obsesją, bo prawdę miałam tuż pod nosem. Ale tego wieczoru, gdy moja wnuczka wróciła na Nikiszowiec, nie myślałam o katowanych zwierzętach ani o smutku malującym się na twarzy Zuzy. Wręcz przeciwnie, paląc na balkonie papierosa, myślałam o tym, jak dobrze mi się powodzi. Nie najgorsze zdrowie, emerytura umożliwiająca życie jeśli nie luksusowe, to przynajmniej dość wygodne, a przede wszystkim rodzina. Ile kobiet w moim wieku może pochwalić się tym, że dorosłe wnuki przychodzą do nich z własnej woli, nieponaglone przez rodziców?

A przecież to, co planowałam, mogło sprawić, że wszystko stracę. Zdawałam sobie sprawę, czym ryzykuję, jednak nie zamierzałam zrezygnować. Podeszły wiek ma niewiele zalet – nie wierzcie, jeśli wmawiają wam co innego – niemniej jedną z nich jest znajomość siebie. Wiedziałam, że jeśli teraz się wycofam, niewykorzystana szansa zatruje lata, które mi zostały. Dręczyłabym się świadomością, że Jacek mieszka tak blisko i w każdej

chwili mogę go spotkać, aż wreszcie o niczym innym nie potrafiłabym myśleć.

Poza tym oczywiście wierzyłam, że akurat mnie się uda, bo jestem wystarczająco sprytna, by nie dać się złapać. Zorientowałam się, że myślę już jak przestępca, i nawet nieszczególnie mnie to zdziwiło. My, stróże prawa, mamy więcej wspólnego z ludźmi, których ścigamy, niż chcieliby wierzyć praworządni obywatele.

Potrafimy działać szybko i zdecydowanie, potrafimy też, kiedy trzeba, być bezwzględni. I błyskawicznie uczymy się, że w naszej pracy ważniejsze jest trzymanie się ducha prawa niż jego litery. Nie wiem, czy istnieje gliniarz, który nigdy nie sprowokował podejrzanego, nie wymusił zeznań ani nie podłożył dowodów – albo przynajmniej o tym nie myślał.

Sama swego czasu robiłam takie rzeczy, jeśli tylko wierzyłam, że dzięki temu dorwę drania, który powinien siedzieć w więzieniu, a nie cieszyć się wolnością.

Tak właśnie tamtego wieczoru postrzegałam to, co zamierzałam zrobić: jako sprawiedliwość, może dość pokrętną, ale jednak sprawiedliwość.

Krystyna, emerytowana policjantka, jako młoda dziewczyna straciła w tajemniczych okolicznościach brata: w 1963 roku piątka studentów wyruszyła w Tatry, troje z nich zostało odnalezionych martwych, jeden – brat Krystyny – zaginął bez wieści. Wrócił tylko Jacek.

Teraz, po ponad pięćdziesięciu latach, Krystyna niespodziewanie widzi go w osiedlowym sklepie na katowickim Janowie. Okazuje się, że Jacek pod zmienionym nazwiskiem mieszka w tej samej dzielnicy. Krystyna postanawia zmusić go, żeby wyznał, co wydarzyło się w górach – późnym wieczorem wybiera się do jego domu z nożem w plecaku. Gdy jednak wchodzi do willi, znajduje zwłoki Jacka.

Świadoma, że jeśli jej obecność na miejscu zbrodni wyjdzie na jaw, będzie pierwszą podejrzaną, zaczyna wykorzystywać kontakty z przeszłości i prowadzić prywatne śledztwo. Niestety, wraz z kolejnymi odkryciami okazuje się, że we wszystko może być zamieszana bliska jej osoba. Krystyna staje przed trudnym wyborem...

PIERWSZY TOM KRYMINALNEJ TRYLOGII JEDNEJ Z NAJBARDZIEJ ZDOLNYCH AUTOREK KSIĄŻEK KRYMINALNYCH I FANTASTYCZNYCH, UZNAWANEJ ZA KRÓLOWĄ BUDOWANIA NAPIĘCIA

Intrygująca bohaterka, wielowątkowe wciągające śledztwo, tajemnica z przeszłości – w najnowszej książce Kańtoch jest wszystko, co powinien mieć dobry kryminał. Nie byłem w stanie go odłożyć, a teraz nie mogę się doczekać kolejnej części.

WOJCIECH CHMIELARZ

cena 39,90 zł



w sprzedaży także



PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl



CZYTAMY
KRYMINALY.PL



SMACKSIĄZKI.PL

PORTAL
KRYMINALNY

POCISK
MAGAZYN PRZEGLĄDOWY